№ 64. Warszawa, dnia 28 Lipca / 9 Sierpnia 1872 roku. Tom II. — Rok I.

WIENIEC

PISMO CZASOWE ILLUSTROWANE

WYCHODZĄCE DWA RAZY NA TYDZIEŃ.

JÓZEF NARZYMSKI.

W nocy z 4 na 5 lipca t. r. umarł w Jaworzu na Szlązku Józef Narzymski.

Wiadomość ta, lubo spodziewana oddawna, przybywszy do Krakowa napełniła prawdziwym smutkiem jego przyjaciół i znajomych, jak w ogóle całe tutejsze grono literackie rozmaitych odcieni, które na widok świeżéj straty jaką literatura poniosła, połączyło się w jednomyślném poczuciu żalu.

Ciało zmarłego przywieziono do Krakowa. Narzymski od kilku miesięcy szukający dla poratowania swego zdrowia cieplejszego klimatu, zwątpiwszy o ocaleniu, chciał choć umierać w Krakowie. Los nie dozwolił mu tego. Nie zbyt liczne grono krewnych, przyjaciół i znajomych (bo wiadomość o przywiezieniu zwłok bardzo późno się rozeszła) odebrało jego ciało z dworca kolei żelaznéj, i na swych barkach przeniosło je na cmentarz krakowski, gdzie złożono je w pierwszéj alei od wejścia po lewéj stronie. Nikt nie przemówił nad świeżym grobem (zapewne z przyczyny już wzmiankowanéj) ale najbliższe zaraz dzienniki galicyjskie oddały zmarłemu należące mu się wspomnienie, i uczciły w nim człowieka z prawym i szlachetnym charakterem i utalentowanego pisarza.



Józef Narzymski.

Narzymski umarł w pełni męzkiego wieku, bo w 34 roku swego życia. Mamy przed sobą blizko 30 jego listów pisanych w ostatnich czasach do jednego ze znajomych w Krakowie, jako też szkic biograficzny ręką Narzymskiego dla tegoż znajomego kreślony, a łaskawie nam do użytku udzielony. W papierach tych znajdziemy najdokładniejszy obraz jego życia i charakteru.

Urodził się 8 lutego 1839 w Radzikach małych w powiecie Przasnyskim w majątku rodziców swoich Jana i Katarzyny z Gręboszewskich. Od pierwszych chwil dusza jego odbierała wrażenia mogące podnieść wrodzoną poetyczność. Z roz-

rzewnieniem wspomina Narzymski o domu rodziców swoich, staroświeckim pałacu w Bogatém, upiększonym przez jednego z przodków Jakóba Narzymskiego wojewodę pomorskiego w połowie XVIII wieku. Pałac pomimo że w roku 1812 służył za szpital wojskowy, nie stracił całkiem śladów dawnéj świetności. Ogromne i wysokie sale z poczerniałemi złoceniami i sztukateryami, z wypłowiałemi aksamitnemi obiciami w kwiaty i ptaki, portrety rycerzy, duchownych i dam wypudrowanych porozwieszane po ścianach—wszystko to robiło na dziecinnym umyśle dziwne a silne wrażenie, zwłaszcza przy ciszy i powadze panującéj w całym domu.

Matka, anielskiéj dobroci kobieta, uczuciowa a nawet i trochę egzaltowana kierowała jego pierwszém wychowaniem. Nauczyła go czytać i opowiadała mu o dawnych czasach. W szóstym roku życia umiał na pamięć Śpiewy Historyczne i czytywał Żyda wiecznego tułacza. W rok późniéj stracił matkę i dostał się pod opiekę babki, która również w Bogatém mieszkała. Babka była nabożną aż do dewocyi, to też wnuk towarzystwem kobiecém i księżmi ciągle otoczony przerobił się na małego ascetę, martwił się modlitwami i postami, a za największe miał szczęście służyć do mszy. Ta dewocya dziecinna dochodziła prawie do egzaltacyi, zwłaszcza że podniósł ją jeszcze brat babki, wielki dziwak i wielce nabożny, choć w młodości był pięknym jak Apollo i uczniem Kanta. Zniechęcony wypadkami politycznemi, po roku 1816 porzucił swój majątek pod Gdańskiem i osiadł u swych krewnych w Bogatém, gdzie mieszkał aż do śmierci (1862). Tutaj po całych dniach czytywał książki, czasem bawił się w medycynę, lecząc ludzi wiejskich, i zawsze zamykał się na klucz w swoim pokoju. Po wielu staraniach i prośbach udało się wreszcie młodziutkiemu Józefowi dostać się do mieszkania mizantropijnego dziadka, i tam czytywał mu całemi godzinami Żywoty świętych Skargi, albo na klęczkach odmawiał z nim litanie i modlitwy. Narzymski powiada, że to czytanie Skargi wyrobiło mu zapewne język i styl poprawny i czysty.

W 13-tym roku życia w 1852 oddany został do trzeciéj gimnazyalnéj klassy w Płocku. Uczył się bardzo dobrze, był kochany przez kolegów i nauczycieli, i z postępami celującemi przechodził z klassy do klassy, co jednak zawdzięczać miał więcéj swoim zdolnościom niżeli wytrwałéj pilności. Celował szczególnie w wyrabianiu zadań i ćwiczeń szkolnych jak również i w matematyce, z zamiłowaniem oddawał się także historyi. Jeden z professorów oddając mu raz kajet z zadaniami, wyrzekł do niego słowa, które duszę młodzieńczą musiały połechtać i podnieść: „Jeżeli co porządnego w życiu nie napiszesz, to zawinisz ciężko”... Jeżeli żyje jeszcze ów professor, to musi przyznać, że Narzymski nie zawinił.

Z życia szkolnego wyniósł on także i przechował aż do śmierci wiele miłych wspomnień o swych kolegach, szczególnie o jednym z nich A. O., dzisiaj professorze uniwersytetu warszawskiego z którym przez kilka lat siedzieli na jednéj ławie obok siebie, bo Narzymski brał pierwsze nagrody, a O. drugie.

Równocześnie z ukończeniem przezeń szkół w 1857 r. a 18 życia, ojciec jego ożeniwszy się powtórnie i mając syna z tego małżeństwa, podzielił majątek, a zachowując dla siebie jedną połowę, Józefowi oddał Bogate i parę folwarków.

W tak młodym wieku Narzymski został panem znacznéj fortuny. Ojciec jego matki, człowiek rozumny i kochający go do słabości, wziął na siebie zarząd majątku. On sam miał daléj się kształcić, ale pewne okoliczności przeszkodziły udaniu się na jaki uniwersytet lub do jakiéj szkoły technicznéj.

Wypadało, ażeby młody właściciel majątku wszedł w bliższe stosunki i znajomość ze swą rodziną niezmiernie liczną, która go nie znała a pragnęła (jak pisze) „ucieszyć się fenomenem.” Co ważniejsza jeszcze, słaba kompleksya jego, wysoki wzrost przy wielkiéj szczupłości ciała, zaczęły wzbudzać słuszne obawy. Professorowie sami doradzali wypoczynek, a ojciec i dziadek zgodzili się na to.

Przyjmowany wszędzie mile i uprzejmie, zaczął niedługo smakować w życiu światowém. Niedługo także (8 Maja 1859 r.) umarł ojciec i cały ciężar interesów własnych i najbliższéj familii spadł na niego, bo dziadek coraz mniéj mógł się tém zajmować. Należało się więc pożegnać z dalszemi studyami, bo i przywyknienie do systematycznéj pracy coraz bardziéj znikało.

Niemałego wstrząśnienia wewnętrznego doznał także w tych czasach z powodu pierwszéj a nieszczęśliwéj miłości. Ideał jego myśli wyszedł za innego... Młodzieniec z wrażliwą wyobraźnią, z gorącą krwią i rozpaczą w sercu rzucił się w wir świata na oślep i całą duszą, jak zwykle wszystko robił. W Warszawie znalazł się niedługo w kółku ówczesnego cygaństwa literackiego. Jakie skutki to życie wywarło na niego, określimy najlepiéj jego własnemi słowami: „Peryod ten trwał niedługo, choć kosztował mnie dużo i pieniędzy i illuzyj i młodości.”

W następnym roku (1860) wyjechał do Paryża. Ale do systematycznych studyów, pomimo to że miał dopiero rok dwudziesty, nie było już wiele ochoty. Chodził jednak do Collège de France, czytał bardzo wiele i często bywał w teatrach paryzkich, co nie pozostało bez dobrego skutku dla późniejszéj jego literackiéj karyery i przyczyniło się wiele do téj znajomości sceny, jakiéj w utworach swoich dał dowody. Szalonemu życiu nowożytnéj Babilonii spłacał także niekiedy swój haracz.

Na niejaki czas przyjechał potém do kraju, w 1862 powrócił znów do Paryża i do Włoch, a wróciwszy ztamtąd powtórnie, doprowadził do skutku dawny swój zamiar i w początku Stycznia 1863 roku ożenił się z Aleksandrą Krajewską. W kilkanaście dni późniéj pokazały się pierwsze objawy nieuleczonéj choroby, któréj nareszcie padł ofiarą, 25 Stycznia bowiem dostał pierwszego w życiu, ale strasznego krwotoku, który go trzymał w łóżku aż do Marca.

W październiku t. r. wyjechał z kraju i odtąd aż do śmierci żył za granicą: dwa lata w Paryżu, rok w Dreznie, dwa lata w Prussiech u rodziny, a od jesieni r. 1868 w Krakowie. Był to zarazem czas ciężkiéj dla niego próby i utrapień. Majątek nie przynosił potrzebnych dochodów, choroba często powracała i odbierała siły do pracy, niepokoiła go niepewność losu żony i jedynego dziecka, które jak przeczuwał będzie musiał zawcześnie porzucić.

Nieszczęsna choroba w ostatnich czterech latach coraz większe czyniła postępy. Na wiosnę 1869 r. w Krakowie zapadł mocniéj na piersi i z pewnemi tylko przerwami, stan jego pogorszał się coraz bardziéj. Dziwna rzecz, jest to także czas, w którym Narzymski najwięcéj i najgorliwiéj pracował i tworzył prawie z gorączkową niecierpliwością, jakby będąc pewien bliskiego końca. Ostatniéj jesieni lekarze kazali mu się udać do Meran. Po paromiesięcznym pobycie pojechał znów ztamtąd na początku b. r. do Wenecyi, gdzie zamieszkał na Riva dei Schiavoni w domu pana Fabbris'a. Cieszył się że miał ze swych okien widok na słońce i na port, ale czuł, że coraz więcéj opuszczają go siły, nie rokował sobie polepszenia zwątpił o życiu.

„Nareszcie dojechałem do Wenecyi (pisze pod datą 6 Kwietnia). To tyle pomoże co i wszystko. Drogę odbyłem nieźle, ale za to dziś rozbity jestem zupełnie. Doprawdy nieraz myślę, czy rozumny człowiek powinien do końca znosić egzystencyę, która dla niego i dla innych jest tylko ciężarem i męką. Cierpieć rozumiem, ale z jakimś celem; ale tak jak teraz, to doprawdy głupstwo.”

W tym samym liście na inném miejscu powiada: „Pisanie listu jest męczarnią dla mnie, a i czytać mi się nie chce.”

Widmo nieochybnéj śmierci coraz wyraźniéj stawało przed jego oczami; ani piękny klimat włoski ani czarująca tegoroczna wiosna nie przyniosły ulgi jego chorobie. Oczekiwał już tylko dnia śmierci i jedyném jego pragnieniem było umrzeć pomiędzy swoimi. „Straciłem wszelką nadzieję ocalenia (pisał z Wenecyi 18 Maja), ale chciałbym umrzeć choć w Krakowie”.

Postanowił więc zbliżyć się ku rodzinnym stronom, i szukał tylko miejsca mającego świeże powietrze, do którego mógłby się przenieść i czas jakiś przy życiu utrzymać. Wtedy wpadł mu w oczy anons kąpieli w Jaworzu, i zamiast jechać wprost do Krakowa, tam zboczył. 28 maja przybył do Jaworza pod Bielskiem strasznie schorowany. W nocy z 4 na 5 lipca umarł.

(d. n.)

TRZY ŚWIATY.

I.

Są ludzie, których życie tu i tam się słania—
Lada podmuch unosi ich myśli, żądania,
Wszystko się w nich porusza na model gotowy,
Uczynki bez idei, a ciała bez głowy.
I pędzą, jak bezwiedny statek wichrem gnany,
I rajem tu są dla nich, ot... nawet Bielany.
Żyją dzisiaj; dość na tém. Duch się chwieje, waha,
Wdal idą bez kierunku... kierunek, rzecz błaha.
I wszystko w nich zaciera wrażliwość zbyt skora:
Żal pierzcha przed uśmiechem, a przed jutrem [wczora.
I żyją tak z dnia na dzień, w tłoku innych wielu—
A myśli ich, pragnienia—bez praw i bez celu.
I serc ich ciągle śpiących nic tu nie udręczy—
Ich *wczoraj* bez ołtarza, a *jutro* bez tęczy.

II.

A inni w ciągłéj pracy pochylają czoła—
Świat w niebo chcą przetworzyć, człowieka [w anioła;
Tchnieniem swém radzi ogrzać to co stygnie, kona,
Upadającym podać bratnie swe ramiona.
W cichości tajemnice badają wszechświata,—
I duchem zawsze jaśni, choć skroń cierń oplata.
I są w koncercie życia, nie wynosząc siebie,
Tém, czém jest harmonijna podróż słońc na niebie.
I nic się nie roztrąca o nich, ni też oni
Nikogo nie obalą w życiowéj pogoni.
I żywot ich, tak skromny jak strumień drobniut- [ki,—
Rzuca zasiew dokoła, rzeźwi bole, smutki.
A myśl ich, gdy przemówi, przezroczysta, błoga,
Dla bliźnich niesie pokarm, a hymny dla Boga.
I wszystko dają światu, co w miłości prześnią—
Gdy inni tu są gwarem, oni—życia pieśnią.

III.

A jeszcze inni, patrzcie, świat to niby nowy:
Przed niczém nie uklękną, nie uchylą głowy,
Oni, wszystkiém na świecie—olbrzymie ich bary
Świat nowy chcą zbudować, a obalić stary;
Zowią siebie *tém*, *owém*, lecz w tych nazwisk tłu-[mie
Żaden z nich swego miana zrozumieć nie umie.
Że w duchu swym są niczém, a więc każdy prze-[czy
Wszystkiemu: sobie, światu i źródłu wszech-[rzeczy.
I gdy świat na nich patrzy zlitowania okiem,
Oni tę litość zowią nieuctwem głębokiém.
Myśli ich—chorągiewki na wieży zamczyska—
Furczą z wichrem dla wichru, choć ruina blizka.
Czoła w górę,—a dusze już padły w kałuże.
O takich to ja prostak najsmutniéj już wróżę...
Patrzę w okół w obawie, czy gawiedź ta marna
Nie rzuca w duchy młode kąkolu miast ziarna?...
Wszakże przepuść im, Panie, niech myśl się nie [trwoży!
Bo z ziarna precz kąkole wywieje Duch Boży.

Klemens Podwysocki.

O PROSZONYM CHLEBIE.

POWIEŚĆ

przez

WALERYĘ MARRENÉ (Morzkowską).

I.

Było to w późnéj jesieni; posępny dzień miał się ku schyłkowi, wieczór zapadał, cichy i uroczy, jak gdyby ziemia spowijała się całunem mgieł przed nadchodzącą zimą, któréj jesienne powiewy obrzucały z drzew zeschłe liście i rozściełały z nich w około smętny kobierzec. Gdzie niegdzie tylko kilka złotych liści kołysało się na białych brzozach, czerwone jagody jarzębin przeświecały krwistą barwą po przez mgłę rozwieszoną w powietrzu.

O téj porze zazwyczaj bogaci ludzie, uciekają z wiejskich ustroni do miast, gdzie sztuczne zabawy i sztuczne życie zastępują im świąteczne chwile natury. W skromnych dworach rodziny skupiają się około ogniska, szukając zapełnienia długich wieczorów w pracy jakiéj, czytaniu lub grze towarzyskiéj. W chatkach wiejskich prządki zaczynają zbierać się i snuć razem z nitką lnianą legendy i przypowieści o czarach, zaklęciach, złośliwych duchach, krwiożerczych upiorach.

Teraz jednak słońce rzucało jeszcze z za grubéj warstwy chmur ostatnie skośne promienie, pługi wracały z pola, bydło zganiane ryczało biegnąc do obór.

Wśród wzgórzy i pagórków ciągnęła się wieś malowniczo rozłożona nad bystrą rzeczką wijącą się krętym biegiem przez łąki i zarośla Wieś ta zwana Malińce, śliczną musiała być na wiosnę, gdy świeża zieloność maiła gęste sady obrastające chaty, a kobierce łąk haftowały wzorzysto jaskry, dzwońce, kaczeńce, niezapominajki. Nizkie chaty nierówno rozrzucone zwieszały się po pagórkach, przyparte do stromo ściętéj ściany parowu lub zbudowane na wyniosłościach, oddzielone jedne od drugich rozdołami obrosłemi tarniną, kaliną i głogiem. Wieś ta niepodobna była zgoła do dwóch rzędów chat ciągnących się równolegle po bokach błotnistéj drogi, jakiemi zwykle bywają wsi na płaszczyznach; każde domowstwo wyglądało inaczéj, miało swoją właściwą fizyonomię i charakter odrębny, witało przechodniów odmiennêm obliczem.

Ale teraz drzewa i krzewy sterczały nagiemi gałęziami, murawy pożółkły w sadach i parowy obślizgłe wilgocią mieniły się pasami rudawéj gliny i żółtego piasku, który gdzie niegdzie dobywał się w rozpadlinie spłókanéj deszczem.

Na samym końcu wsi, na przyzbie chaty siedziała dziewczyna prządąc kądziel. Wartkie wrzeciono kręciło się szybko w jéj palcach, przecież oczy jéj przy téj robocie nieraz odwracały się od szaréj nitki i biegły w dal na drogę spuszczającą się ku rzece.

Na téj rzece był młyn drewniany, stary, z czarnemi ścianami pogarbionym dachem; jednostajny jego klekot rozlegał się w powietrzu. Czy on to nęcił wzrok dziewczyny? czy też tylko z tamtéj strony oczekiwała kogoś? nie można było tego z jéj twarzy odgadnąć, chociaż twarz ta była dziwnie wyrazista. Nie miała ona nic z tego co głos ogólny każe uważać za konieczne cechy piękności. Płeć jéj ogorzała, spalona przez letnie skwary i wiatry jesienne, nie przypominała niczem róż i lilij, rysy nie miały nic wspólnego z żadnym starożytnym wzorem a przecież lica jéj posiadały słoneczny koloryt malujący czerstwość i bogactwo sił, które uderzyłyby z pewnością artystę. Kibić jéj odsłaniała się za każdą razą kiedy wyciągała nitkę, lub wyciągniętą nawijała na wrzeciono, i trzeba przyznać, że kibić ta nie mogła współzawodniczyć z żadną z salonowych sylfid, przeciętych w pasie jak osy, ale za to kształty zdradzały i siłę i zręczność; ta dziewczyna nawykła była do ciężkiéj pracy, a przędzenie było dla niéj zabawką tylko lub wypoczynkiem. Ma się rozumieć, że ręce jéj były szorstkie, spracowane, powleczone ciemną skórą jak zwykle u tych co zajęci twardemi koniecznościami życia, nie mają czasu pokochać się w samych sobie i zająć pieszczeniem własnéj osoby.

Pomimo to w ten smętny wieczór jesienny siedząc z kądzielą na przyzbie chaty tworzyła ona bardzo wdzięczny obraz a oko niesfałszowane sztucznemi poglądami musiało zatrzymywać się na niéj i znaleźć ją piękną. Była ona piękna rzeczywiście odrębną pięknością, na którą duch i ciało składały się harmonijne jéj wielkie czarne oczy ocienione firanką rzęs ciemnych spoglądały na świat z pewnym rodzajem łagodnego smutku; na smagłych puszystych licach rumiane usta odbijały ślicznie, a jeśli rysunek ust nie był poprawny, za to były one tak świeże, otwierając się pokazywały tak równe białe zęby, a nadewszystko było tyle wdzięku w ich cierpliwym uśmiechu że spojrzawszy raz, trzebabyło patrzeć jeszcze, i przychodziła chęć zapytać: dla czego w rozkwicie lat swoich miała oczy i uśmiech tak smutny? Może była ona sierotą, może nigdy ręka matki nie otarła dziecinnych łez z jéj powiek, nie przygarnęła jéj do bijącéj piersi, może nie kochano jéj nigdy i wzrosła wśród twardéj doli, pomimo trudnych warunków bytu silna i piękna jak latorośl, co ma dość żywotnéj siły by zwalczyć wszystkie przeszkody. W jéj spojrzeniu było coś sierocego, jak gdyby zostały na dnie ducha jakieś trwogi i goryczę dawne, jakieś przywyknienie do cierpienia i to piętnowało smutkiem jéj żrenice.

Pomimo spóźnionéj pory wieczór był ciepły jak na listopad, dziewczyna jednak miała na sobie zbyt lekkie odzienie by nie odczuć koniecznego chłodu téj pory. Ubrana była w ciemny sukienny gorset, spódnicę i fartuch domowego wyrobu na wpół z wełny i lnianéj przędzy, na głowie miała związaną chustkę, ale ramiona jéj i piersi okrywała tylko koszula, a bose nogi rumieniły się od zimna. Jednakże nie powracała do chaty, gdzie ogień palił się na kominie, rzucając w szyby wesołe odblaski, i siedziała na przyzbie śpiewając półgłosem.

Na drodze zakręcającéj się po za chatę ku młynowi na obszerne błonia, ludzie przechodzili od czasu do czasu śpiesząc do swoich zatrudnień, pastuszki zganiali bydło, oracze powracali ze spóźnionéj roboty, dziewczyna za każdym szelestem podnosiła wzrok i spuszczała go znowu przekonawszy się zapewne, że nie było tam tego co zobaczyć pragnęła. Głos jéj czysty i donośny rozbrzmiewał w około niosąc smutną nutę znanéj piosenki:

Jechali tam żołnierze aż pod Czarne Morze.
Ni przejechać ni przepłynąć żaden tam nie może.

Właśnie w chwili kiedy wymawiała te słowa, stara kobieta przechodziła koło chaty, zatrzymała się w miejscu, i rzuciła na młodą dziewczynę zjadliwe spojrzenie.

— Cóż ty Hanko, odezwała się zbliżając do niéj, śpiewasz o żołnierzach? widać że cię tam któryś obchodzi?

Zagadniona podniosła na nią oczy z nieujętym wyrazem, a na lice jéj wystąpił rumieniec. Przecież pomimo tych wymownych symptomatów, wzruszyła lekko ramionami i przędła daléj nie odpowiadając, jak gdyby słowa usłyszane wcale się do niéj nie stosowały.

— Ej! ej, ciągnęła daléj stara, śmiejąc się przykrym śmiechem: nie udawaj, wiem ja dobrze o kim ty myślisz.

Wrzeciono zatrzymało się w ręku Hanki, ona sama przez chwilę zdawała się zmieszana, ale to trwało krótko. Podniosła głowę i wlepiając w kobietę smutne głębokie oczy odparła:

— A jeśli myślę, to co? czy to kto myśleć zabroni?

Na tę śmiałą odpowiedź, oczy staréj zamigotały złośliwie.

— Myśl sobie, myśl, szepnęła przez zęby; ale z twojego myślenia nic być nie może, już ja ci powiadam, ja, Wickowa.

Dziewczyna przecież zniosła tę wróżbę wymówioną widocznie z nieprzyjaznym zamiarem, spokojnie, z rezygnacyą ludzi przywykłych do cierpienia i złéj woli ludzkiéj.

— Ha, wyrzekła tylko podnosząc się z dziwną godnością, jesteśmy wszyscy w bozkiéj mocy; jak On postanowi tak być musi.

Była to harda odpowiedź i od razu stawiała tamę dalszéj rozmowie w tym względzie. Wickowa umilkła gniewna; przecież gniew ten nie mógł w téj chwili wylać się w słowa.

Odeszła pomrukując coś, a Hanka pozostała w progu. Nie przędła już teraz, tylko głowę wsparła o drzwi i załamała ręce, i patrzała w niebo, pokryte grubą zasłoną chmur, jak gdyby wzrokiem przebić je chciała, i tam wśród błękitu szukała pociechy i obrony.

Zapewne w téj chwili zapomniała o otaczającym ją świecie, pogrążona w myślach trwogi i nadziei, bo nie zważała jak tętent dał się słyszeć od strony, ku któréj tak często głowę odwracała, i na drodze ukazał się parobczak, prowadząc od wody parę małych koni. Były to mierzynki z nastrzępionemi grzywami, pomimo to rażne i tłuste, parobczak siedział oklep na jednym z nich, a drugiego prowadził za uzdę. Było mu snadź pilno bardzo bo nie zważając na błoto które rozbryzgiwało się w około, galopo-

wał samym środkiem drogi. Przed chatą jednak wstrzymał konie.

— Co to Hanuś? zawołał wesoło: cóż ci się stało, że tak stoisz smutno kieby nieżywa?

Dziewczyna drgnęła na ten głos, jakby przywołana z innego świata; w mgnieniu oka otrzęsła się z bolesnych marzeń oczy jéj zabłysły, twarz pokraśniała.

— Ej to nic, szepnęła.

Chłopiec spojrzał na nią, nie zupełnie przekonany tém zaprzeczeniem, wesołość jego znikła.

Zeskoczył z konia i zbliżył się do Hanki.

— Hanuś szepnął...

— Co Stachu? odparła postępując ku niemu.

— Hanuś ty mnie nie powiedzieć niechcesz.

— Bo nie mam co Stachu.

— A jak ja cię zobaczę smutną, to zdaje mi się, że gdybyś chciała tych gwiazd co na niebie świecą musiałbym je dostać dla ciebie lub wymodlić u Boga.

Głos mu drżał, gdy wymawiał te słowa pełne prostéj wiary i prostego uczucia; ona słuchając go uśmiechnęła się łagodnie.

— Ty jesteś dobry Stachu, bardzo dobry, ale gwiazdy wysoko, żaden człowiek ich nie dostanie i na coby one mu się zdały?

— A czegoż się ty frasujesz?

— Nie frasowałam się wcale, ot tak tylko zapatrzyłam się w niebo, i nie słyszałam jakeś nadjeżdżał.

— Założę się, że Wickowa powiedziała ci jakieś licho, spotkałem ją tylko co jak szła do młyna.

Rzeczywiście odgadł, przecież dziewczyna była nadto hardą by przyznać się przed nim że jéj ktoś przykrość wyrządził, więc wzruszyła ramionami.

— A cóż Wickowéj do mnie. Przędłam sobie i nie zważałam na nią.

Kłamała, ale on nie przypuszczał tego, subtelność jéj uczucia uchodziła mu bo i dla czegoż nie miała powiedzieć mu prawdy?

Chwilę stał w miejscu namyślając się a niecierpliwe koniki rwały się i rżały.

— Hanuś, wyrzekł, muszę odprowadzić konie, a potém przyjdę tam za płot sadu i będę czekał na ciebie.

Wskazał ręką miejsce umówione i nie czekając przyzwolenia na które widać z radością rachował, wskoczył na konia i pogalopował daléj.

Dziewczyna nie przeczyła mu, tylko odprowadzała go smutnemi oczyma dopóki nie zniknął za węgłem stodoły.

Snadź szybko bardzo załatwił się z tą czynnością bo w parę minut późniéj przemykał się po za sadami i stanął przy płocie chaty gdzie mieszkała Hanka. Mrok zapadał powoli, jak zwykle o téj porze roku; po za sadami ciągnęły się błonia puste teraz, bo bydło i konie już do obór zgoniono. Przecież zaledwie chłopiec usadowił się na swojém stanowisku zaglądając przez płot obrosły jeżynami, — usłyszał za sobą głos znajomy:

— Oj głupiś ty Stachu, głupi! zawsze ci ta Hanka w głowie.

Odwrócił się niecierpliwy, gniewny, i ujrzał Wickową zaganiającą zabłąkaną krowę; dostrzegłszy go stanęła i kiwała głową.

— A wam co do tego? odparł ze złością.

Na pomarszczonéj twarzy staréj kobiety zarysował się chytry uśmiech. (*d. c. n.*)



Posłaniec miłości. Kopia z obrazu Mejera von Bremen.

SKARB NA WYSPIE KOKOSOWÉJ.

przez

T. Kirchhoffa z San Francisco.

Dokończenie. (*Ob. Nr. 63*).

Korsarze nagromadzili taką potworną ilość zdobyczy na Wyspie Kokosowéj, że na seryo mówili o podzieleniu się bogactwami (obliczanemi na trzynaście milionów funtów sterlingów) i o zamknięciu się w spokojném życiu prywatném. Kapitan zgodził się na to; pragnął tylko uskutecznić jeszcze jeden dobry połów, a potém porzucić dzikie i pełne nie bezpieczeństw życie korsarza. Znał on pewne bogate miasto na brzegach Ameryki południowéj, i zamierzał je zrabować. Niezliczone summy leżały tam w piwnicach kupców; apostołowie ze srebra stali w kościołach, a ciężkie naczynia święcone ze złota zalegały ołtarze; panowie hiszpańscy, z powodu wojny już od wielu lat nie zabierali do siebie wydobytego z blizkich kopalni srebra, słowem, w tém spokojném mieście łatwo zdobyć było można niezmierne bogactwa. Przez cztery dni i cztery noce hulali korsarze w mieście, którego mieszkańcy domyślili się nareszcie prawdziwych zamiarów przybyszów. Eliza była sama na pokładzie statku, kiedy kilka kompanij żołnierzy hiszpańskich, wezwanych tajemnie na pomoc przez władze miejskie, napadło niespodzianie na ucztujących korsarzy. Podczas rzezi na pokładzie, udało się Welshowi podpłynąć w łodzi do statku, umknąć z Elizą do poblizkiego lasu i tam ukrywać się aż do skończenia walki. Rozbójników wycięto w pień a statek ich spalono.

Co porabiał Welsh w ciągu następnych lat trzydziestu po tak dramatycznie opisanéj katastrofie w bandzie korsarskiéj,—trudno dokładnie stwierdzić. Sam on utrzymuje, że ożenił się ze swoją drogą Elizą w Nowym Yorku, odbył wiele podróży morskich i przebywał długo w Nowéj Zelandyi. W 1850 roku pojawiła się para awanturnicza w San-Francisco, znęcona kalifornijską złotą gorączką i tu dopiero świat dowiedział się o olbrzymich skarbach na Wyspie Ko-

kosowéj. Welsh nie mówił o niczém inném, tylko o sześćdziesięciu pięciu milionach które chciał przywieźć koniecznie. Ale bez obcéj pomocy zrobić tego niebył w stanie. On jeden na świecie wiedział dokładnie gdzie skarb był ukryty, widział go na własne oczy, i mógł prawie po ciemku do kryjówki trafić. Ale oprócz Elizy, komuż więcéj mógł zaufać,—a we dwoje skarbu przenieśćby nie mogli. W San-Francisco, fantastyczna powieść o rozbójnikach znalazła wiarę u wielu mieszkańców. W 1855 r. odpłynęła wyprawa do Wyspy Kokosowéj, w celu wyszukania milionów, ale niestety powróciła z niczém; kilka innych ekspedycyj z tym samym podróżowało skutkiem. W r. 1867 utworzyło się w San-Francisko „Towarzystwo akcyjne skarbów ukrytych na oceanie południowym," a Welsh objął dowództwo uzbrojonego przez to Towarzystwo statku „Petrel" przeznaczonego do Wyspy Kokosowéj; Eliza towarzyszyła mu w téj awanturniczéj podróży. Welsh utrzymywał wtedy, że w drodze odkrył sprzysiężenie mające na celu otrucie Elizy, i dla tego skierował statek ku Panamie gdzie żonę zostawił. Piszące to mam przed oczami sporo listów nadsyłanych do przyjaciół przez pewnego wykształconego Niemca, który w San Francisco zaciągnął się jako majtek na pokład statku „Petrel"; w całéj téj korrespondencyi historya Wyspy Kokosowéj wystawiona jest jako najpotworniejsze oszustwo, jakie kiedykolwiek istniało.

Podróż statku „Petrel" z San-Francisco do Panamy była straszliwa. Nie tu miejsce opisywać szczegółowo podróż trwającą całe pięć miesięcy; wściekłe burze miotały statkiem jak wątłą łupinką, to znów nieubłagane cisze przykuwały go prawie na miejscu do spokojnych fal morskich; zupełna nieudolność dowódcy czyniła tę podróż rozpaczliwą wyprawą. Nareszcie z żagli pozostały się tylko strzępki, a nowych nie było już z czego zrobić, kiedy na szczęście zjawiła się kanonierka Stanów Zjednoczonych i pociągnęła za sobą do Panamy zniszczony statek. „Szalony kapitan—tak pisze ów Niemiec, przerachował się o ośmset mil, i lepiéj zapewne zna się z igłą krawiecką jak z prowadzeniem statku." Zamiast jechać prosto ku Wyspie Kokosowéj okrążał formalne brzegi. Więcéj nieogładzonego człowieka w życiu niewidziałem. Kłamie jeżeli twierdzi że był kiedykolwiek dowódzcą statku" etc.

Drugi list datowany z Panamy w Kwietniu 1868 r. zawiera co następuje:

„Panowie przedstawiciele Towarzystwa „South Pacific-Prospecting-Company," nie wiedzą ciągle co mają począć. Stary kapitan ze swoją żoną (lubą Elizą,) chodzi po żebraninie od jednego hotelu do drugiego. Gdyby w San-Francisco znajdowali się jeszcze głupcy którzyby chcieli kupować akcye „Wyspy Kokosowéj," odsyłajcie ich do mnie. Sprzedaję moje dwadzieścia pstro zadrukowanych papierków po cenie kosztów—za sto dollarów."

Koniec epopei był taki, że statek „Petrel" publicznie w Panamie zlicytowano, celem wypłacenia zaległego żołdu majtkom, którzy od ośmiu miesięcy nie widzieli ani jednego centa płacy. Mimo to wspaniałe *fiasco* „Petrella" i innych wypraw po ukryte skarby, znajdowali się jeszcze w San-Francisco i w Ameryce południowéj ludzie którzy wierzyli w istnienie sześćdziesięciu pięciu milionów na Wyspie Kokosowéj. W 1870 roku Welsh popłynął jako pasażer z wyprawą urządzoną pod opieką rządu rzeczy pospolitéj Costa-Rica i wysłanéj z Punta-Arenos na Wyspę Kokosową. Tą razą dotarł nareszcie do wyspy, widział górę w któréj wnętrznościach spoczywało sześćdziesiąt pięć milionów „Poszukiwacze skarbu, opowiada Welsh, stali już raz blizko ukrytego wejścia do jaskini; ale nie znaleźli ani tego wejścia, ani nagromadzonych tam skarbów." Zaklinano Welsha na kolanach ażeby wskazał jaskinię w któréj skarb się znajdował, proszono go, używano groźby, obiecywano połowę bogactw, — wszystko napróżno. Stanowczo nie chciał wskazać miejsca, wiedział bowiem, że awanturnicy niewątpliwie by go zamordowali,—chcąc wszystko dla siebie zagarnąć. Tym sposobem i ta wyprawa spełzła na niczém.



Ratusz miasta Sandomierza.

W ciągu ostatnich paru lat Welsh i żona jego mieszkali w San-Francisco. Eliza ogłosiła się jasnowidzącą. W charakterze medium magnetycznego opowiadała tu setkom łatwowiernych o skarbach na Wyspie Kokosowéj: utrzymywała ona, że drogie kamienie (po większéj części rubiny i dyamenty) stosami leżą w żelaznych skrzyniach, że dublony i piastry w workach i beczkach stoją przy jednéj ze ścian jaskini, że sztaby srebrne i złote nagromadzone są pod same sklepienia, a naczyń złotych i srebrnych, świeczników i t. p. zliczyć nawet niepodobna.

W San-Francisco gdzie więcéj niż gdziekolwiek indziéj na kuli ziemskiéj znaleźć można jasnowidzących, którzy znaczne ciągną zyski, we wszystkich dziennikach głoszą o swojéj sztuce i złotemi napisami „clairvoyants" na frontach domów w głównych ulicach miasta zwracają uwagę przechodzących, — znalazła Eliza wielu łatwowiernych, szczególniéj między murzynami, którzy klną się na sześćdziesiąt pięć milionów dolarów na Wyspie Kokosowéj. Inne „mediumy" również potwierdziły istnienie niezmiernego skarbu, a przywoływane często w San-Francisco duchy dawnych korsarzy lubią o tém rozpowiadać. Nie trudném więc było Welshowi utworzenie nowego Towarzystwa, które pod jego kierunkiem, tą razą ma koniecznie wynaleźć miliony. Towarzystwo ukonstytuowało się według praw Stanu Kalifornii pod szumną nazwą: „South Pacific Hidden Treasure Prospecting Company" i zaku-

piło na akcye bryg „Laura.” Welsh i Eliza ofiarowali się dobrowolnie objąć dowództwo wyprawy, i zainstalowani też zostali jako dowodzący na statku, który jak się na początku powiedziało odpłynął ztąd dnia 29 lutego r. b. prosto ku Wyspie Kokosowéj. Małżeństwo kierujące wyprawą wymaga dla siebie tyle tylko z całego skarbu ile się znajdzie więcéj nad trzydzieści milionów dolarów; gdyby wbrew wszelkim oczekiwaniom znaleziono mniéj, wtedy dowódcy nie mają prawa nawet do jednego centa. Ośmiu członków towarzystwa znajduje się na pokładzie „Laury” która oprócz akcyonaryuszów wiezie sześciu majtków. Statek zaopatrzony jest we wszelkie potrzeby i w zapasy żywności na ośm miesięcy, ale Welsh i Eliza spodziewali się powrócić z Wyspy Kokosowéj w cztery miesiące po wypłynięciu z San-Francisco, jeżeli tylko ładowanie skarbu na pokład nie wiele zabierze czasu. W ostatnim razie skarby korsarskie miały być złożone w sierpniu r. b. (t. j. w tym miesiącu) do sklepów „Banku kalifornijskiego.”

KORESPONDENCYA

Florencya w Lipcu 1872 r.

Post-scriptum do poprzednich listów. Hektor Marcucci i premium Banku Ludowego. Statystyka piśmiennictwa włoskiego z roku 1871. Ks. Jakób Ferrazzi i jego podręcznik Dantejski. Porównania statystyczne. Autorowie polscy z bibliografii Dantejskiéj. Prace Lenartowicza, Kulczyckiego, Cieszkowskiego i Deskura. Kolonia artystów we Florencyi. Nasze artystki w teatrze S. Miniato.

(A. W.) Wstęp niniejszego listu służyć będzie za *postscriptum* do poprzednich korrespondencyi, które podanemi tu wiadomościami zostaną uzupełnione i dopełnione.

Wśród licznych instytucyj finansowych we Florencyi nieposlednie zajmuje miejsce *Bank Ludowy* (Banca del Popolo) mający na celu popieranie małego handlu i przemysłu. Bank ten przeznacza corocznie część czystego zysku mającą być użytą jako *dywidenda* dla akcyonaryuszów—na premia dla autorów, artystów i przemysłowców, którzy najwięcéj się swemi dziełami odznaczyli i zyskali publiczne swéj zasługi uznanie. Na posiedzeniu téj instytucyi odbytém w końcu Kwietnia roku bieżącego, przyznano nagrody następującym osobom: 2,600 lirów professorowi *Di Marzo* za Nowy Kommentarz do Bozkiéj komedyi Danta, 2,000 lirów doktorowi *St. Morellemu* za tragedyę Arduin z Iwrei; 1,800 lirów professorowi *Hektorowi Marcuccemu* za przełożenie wierszem włoskim polskich poezyj Teofila Lenartowicza,—dzieło, które „zyskało oklaski dziennikarstwa włoskiego i naszych najsłynniejszych pisarzy” (są to słowa sprawozdania); 1,600 lirów rodzinie deputowanego *Józefa Civininiego* b. redaktora tutejszego największego dziennika *La Nazione*, i 800 lirów panu *Józefowi Rosange'owi*, wynalazcy nowego przyrządu do przelewania płynów.

Jakkolwiek ilość ustępuje w zasadzie miejsca jakości w dziełach sztuki i literatury, jednakowoż w praktycznem zastosowaniu jako najdokładniéj mogąca się oznaczyć i sklassyfikować, najlepiéj przedstawia nam ruch umysłowy, kierunek dążeń i zapatrywania się, wreszcie potrzeby duchowe jakiejś miejscowości. W tém, przekonaniu podajemy tu niektóre dane statystyczne z działalności literackiéj w Italii w ciągu 1871 r., które pochlebiamy sobie usprawiedliwią i zarazem dowiodą słuszności naszych zapatrywań się w tym względzie, jakie w poprzednich listach wypowiedzieliśmy.

Według spisu, który redakcya *Bibliografii Italskiéj* do swego czasopisma z 1871 r. temi dniami rozesłała, różne działy literatury przedstawiają następujące rezultata: Akta akademickie, encyklopedya i bibliografia liczy 70 publikacyj, teologia i literatura ascetyczna 444, prawo we wszystkich swych odcieniach 193, polityka 45, ekonomia polityczna, finansowość i statystyka (mowa tu jest o nauce statystyki, nie zaś o sprawozdaniach statystycznych, których niepodobna jest oznaczyć liczby) 78; medycyna i weterynarya 235, nauki przyrodzone, chemia i farmaceutyka 165, filozofia i etyka 69, pedagogia i wychowanie 78, filologia starożytna, archeologia i mitologia 86, filologia nowożytna 37, historya z naukami pomocniczemi 220, biografia 145, geografia, etnografia i podróże 64, matematyka i astronomia 86, strategika i hippologia 59, handel i przemysł 49, architektura lądowa i wodna 68, rolnictwo, leśnictwo i górnictwo 105, listy i rozprawy różnéj treści 205, poezya 385, dramatyczna literatura 100, romanse, powieści i nowelle 240, sztuki piękne 82, pisma popularne 44, pisma różne 86, wreszcie wyszło 82 dzieł szkolnych i elementarnych. Na dzieła te składało się 2,422 autorów, pomiędzy którymi naprózno w dziale belletrystycznym szukałem naszych Kraszewskich, Miłkowskich, Sabowskich i innych, to jest pisarzy podobnie jak oni obfitych w płodność literacką. W dziele tém pierwsze trzyma miejsce *Pigault Lebrun*, którego aż 12 utworów wydano, *Paul de Kock* liczący 6 przekładów i *Dickens* trzema tłómaczeniami zaszczycony. Z pomiędzy czysto włoskich pisarzy odznacza się *Cezar Cantu*, którego już to po raz pierwszy, już to w przedruku wyszły cztery utwory.

Z dzieł roku zeszłego ogłoszonych drukiem, zasługuje na szczególną uwagę *Podręcznik Dantejski* (Manuale Dantesco) księdza Jakóba Terrazziego professora w Bassano w Wenecyańskiém. Dzieło to benedyktyńskiéj pracy składa się z 3-ch części: 1) *Frazeologia Dantejska* (tom I str. 793 in 12. Bassano 1864 r.) przedstawia nam alfabetycznie i źródłowo wskazuje wszystkie wyrażenia Danta, 2) *Encyklopedya Dantejska* (tom 2-gi i 3-ci str. 819 i 916—Bassano 1865 r.), dedykowana Janowi I królowi saskiemu jako tłómaczowi i szczególniejszemu protektorowi studyów nad Dantem, zawiera chronologiczny życiorys Danta, rozbiór pism jego pod różnemi względami, przegląd i krytykę różnych kommentarzy tłómaczeń na obce języki i wszelkiego rodzaju prac o Dantem, daléj alfabetycznie podaje maksymy i zdania Danta i spis imion własnych, wreszcie aby uwydatnić wyższość *bozkiego poety*, jak go tu powszechnie nazywają, w tomie 3 poczynając od 191 str. pobieżnie traktuje o życiu, pracach, edycyach, tłómaczeniach i bibliografiach Petrarki, Aryosta i Tassa. Trzecią część stanowi *Bibliografia* (tom 4 str. 598 in 12 Bassano 1871), która jest uzupełnieniem tego co było w drugim tomie pobieżnie traktowane. W tomie tym wyliczeni są wszyscy autorowie, którzy o życiu lub utworach Danta pisali i którzy go tłómaczyli w całości lub w części, przyczém wskazany jest tytuł każdéj pracy, jéj treść i edycya dokładnie tak co do czasu jak i miejsca oznaczona. Pomiędzy autorami, którzy swe studya nad Bozką Komedyą ogłosili, na str. 240 i 241 znajdują się następujący nasi ziomkowie: Sękowski, Radomicki Wilhelm, Chodźko Dominik, Korsak Julian, Kulczycki Władysław, Kraszewski Józef Ign., a nadto trzech anonimów, których artykuły ogłosiły: Biblioteka Warszawska, z 1852 r. w tomie 4, Kronika Warszawska w Nr. 88 i 100 z 1857 r, i Pamiętnik naukowy zeszyt 11 z 1867 roku.

W tymże tomie na str. 463 i 464 podani są następujący nasi pisarze, którzy w całości lub w części już to wierszem już prozą spolszczyli Bozką Komedyę: Korsak Julian, (opuszczam tu wydania), Kamiński Ludwik Stanisławski Antoni, Wicherski Feliks, Radomicki Wilhelm, Ostrowski Krystyn, Zieliński Gustaw, Lenartowicz Teofil, Mickiewicz Adam, Golian Zygmunt Kulczycki Władysław, Sachowski G., Krasicki Ignacy (kilkadziesiąt tylko wierszy), Kraszewski Józef Ign., Krzeczkowski Józef. Oprócz tego znajdują się cztery inne tłómaczenia Bozkiéj Komedyi: Celińskiego Ant., Jackowskiego Jana Nep., Strojnowskiego Stan. i Wilczewskiego, które dotąd drukiem nie zostały ogłoszone.

Opierając się na pracy ks. Ferrazzego sporządziłem Dantejską statystykę, któréj sądzę, zezultata nie będą bez pewnego interesu dla czytelników. Do roku 1871 *Bozka Komedya* przedstawiała następującą liczbę tłómaczeń: 42 francuzkich, 40 niemieckich, 34 angielskich, 31 łacińskich, 20 polskich, 10 hiszpańskich, 6 ormiańskich (wszystkie były dokonane w Wenecyi przez tameczny zakon ormiański w Lido), 4 holenderskie, 2 hebrajskie, 3 portugalskie, 2 słoweńskie, 2 rumuńskie i 2 węgierskie. Grecya, Dania i Rossya, według informacyj ks. Ferrazzego mają tylko po jedném tłómaczeniu.

Bozka Komedya liczy wierszy 14,228, z których 4,715 przypada na Piekło, 4,785 na Czyściec, a 4,758 na Raj.

Od 1472 roku, w którym po raz pierwszy *Bozka Komedya* była wydana aż do 1863 roku, było 295 edycyj w samym italskim języku, drukowanych 57 razy w Wenecyi, 48 we Florencyi, 31 razy w Medyolanie, 25 w Paryżu, 28 w Neapolu, 8 w Londynie, 7 w Rzymie, 6 razy w Lyonie, 5 razy w Berlinie, Pizie, Bolonii, Turynie; 4 razy w Parmie, Bassano, Palermo; 3 razy w Brescyi, Lipsku, Livornie i Preto; 2 razy w Vicency, Lucce, Weronie i Colle. Jednem słowem było w Italii 239 edycyj, we Francyi 35, w Niemczech 13, a 8 w Anglii (nie licząc w to edycyj francuzkich, niemieckich i angielskich, które w tych krajach wychodziły).

Dla dania czytelnikom naszym wyobrażenia o ruchu umysłowym, a ztąd i o liczbie czytających w tutejszym kraju, zamieszczamy poniżéj statystyczne porównania wydań pierwszorzędnych wieszczy ziemi Auzońskiéj, które zarazem i pod względem chronologicznym przedstawiamy.

Bozka Komedya: w XV wieku 15 razy, w XVI 30, w XVII 3, w XVIII 31, w XIX 216, razem 295 razy.

Rymy Petrarki: w XV wieku 25 razy, w XVI 132, w XVII 17, w XVIII 44, w XIX 84, razem 277 razy.

Orland Szalony: w XVI wieku 177 razy, w XVII 36, w XVIII 56, w XIX 154, razem 426 razy.

Jerozolima Wyzwolona: w XVI wieku 30 razy, w XVII 64, w XVIII 57, w XIX 126, razem 277 razy.

Z tego się pokazuje, że Aryost miał największe powodzenie, Dante o wiele mniejsze i prawie równe temu Tasso i Petrarka, jednakowo uważani, jednakowo przez tutejszą publiczność cenieni.

Na zakończenie dodamy, że dzieło ks. Ferrazzego, lubo jest drukowane w małém mieście prowincyonalném, zaleca się pięknością wydania tak pod względem papieru (który jest welinowy), jak pod względem druku (okrągły garmont), i kosz-

tuje tylko 21 franków, to jest w stosunku niespełna 13 centymów czyli 6 groszy polskich za arkusz druku, bo całe dzieło zawiera 164 arkusze. Mimo tak niesłychanéj u nas taniości *Podręcznika Dantejskiego*, jest on tutaj jedną z najdroższych publikacyj.

Wybaczą mi czytelnicy, że niniejszą korespondencyę florencką a raczéj italską kończę niektóremi wiadomościami bliżéj naszą literaturę obchodzącemi, bo sądzę że podzielają zemną w tym względzie zdanie: *prima charitas ab ego*.

O pracach rzeźbiarskich Lenartowicza nic tu nie donoszę, bo pomnik dla hr. Cieszkowskiéj do kościoła *Santa Croce*, nagrobek dla ś. p. Radoszewskiéj i głowa Śgo Jana są w odlewie, nic nie mogę zatém powiedzieć o nich nowego nadto, co już tyle razy pisma warszawskie napisały.

P. Władysław Kulczycki, znany zaszczytnie z licznych utworów poetycznych i ze swego współpracownictwa w Athenaeum Wileńskiém, Gazecie Warszawskiéj i Czasie, wydał niewielki poemat: *Izella*, będący zrymowaniem pewnéj improwizacyi w jego albumie zapisanéj przez ś. p. księżnę Janinę Czetwertyńską. Obecnie pracuje nad obszernym utworem *Ixyon*, a nadto wspólnie z polyglottą p. Delatrem tłómaczy na język włoski *Niedokończony Poemat* Zygmunta Krasińskiego.

Hrabia August Cieszkowski, którego prace ekonomiczne tyle zyskały rozgłosu i uznania na Zachodzie Europy, podczas kilkoletniego pobytu w Wenecyi zebrał w tamecznych archiwach wszystkie dokumenta historyi naszéj dotyczące, i obecnie opracowywa dzieło o międzynarodowych stosunkach dwóch dawnych, a ze swych instytucyj podobnych do siebie Rzeczypospolitych. O ile wiemy, dokumenta historyczne nietylko w tekscie oryginalnym, ale także i w polskim przekładzie będą przez niego ogłoszone, gdy cała praca ukończona zostanie. Życzyć należy, aby dzieło to jaknajprędzéj ukazało się na widok publiczny, bo nietylko rzuci nam wiele światła na stan naszego handlu i jego stosunki ale także niejedną rozjaśni nam kwestyę i odsłoni niejeden dotąd nieznany szczegół z czasów naszych wojen z Turkami i naszych przeciwko nim przymierzy.

Pan Józef Deskur rodem z Krakowskiego, wydał dzieło o *Wpływie filozofii na wykształcenie narodowe Niemiec*, pierwéj w tutejszym przeglądzie filozoficznym drukowane, i nowellę p. t. *Marchesina Sposa* (Margrabianka-małżonka)—o czém obszerniéj w przyszłym liście pomówimy, gdyż wywiązana ztąd polemika z Mamianim wice-prezesem senatu włoskiego zasługuje na to.

Dziwna rzecz, że Florencya pod względem zbiorów sztuki jeden z najważniejszych punktów w Italii, a nadto pod względem sanitarnym trzymając pierwsze miejsce wśród wielkich miast półwyspu apenińskiego, dla niezrozumianych mi powodów nie może wytrzymać rywalizacyi z Rzymem i dać stałego przytułku kolonii naszych artystów, dość licznie kształcących się i przebywających w tutejszéj klassycznéj ziemi sztuki. Był czas, żeśmy się już cieszyli zmianą tego fatum, i mieliśmy nadzieję pokonać wieczne miasto, pod wielu względami niestosowne dzisiaj dla pustéj zawsze kieszeni młodego artysty, gdy tymczasem znowu znika chwilowa zmiana i sztuka nasza będzie przez samego tylko Lenartowicza reprezentowana tutaj. W ciągu ostatniego roku mieliśmy tu dość liczne grono artystów, którzy przybyli tu z zamiarem dłuższego pobytu. Tak Stanisław Lipiński, bardzo dobry rzeźbiarz, po 6-ciu miesiącach pobytu powrócił do Krakowa; następnie przybyli tu Kazimierz Szulc i Bolesław Łaszczyński, artyści malarze z poznańskiego, późniéj nieco Teodor Gundelach, młody rzeźbiarz z Warszawy, ostatniemi wreszcie czasy malarz Piwnicki, rodem z Lipnowskiego, i Barącz, pełen talentu i twórczości rzeźbiarz ze Lwowa. Całe to grono artystów, pełne siły i młodzieńczego zapału, zapowiadało jaknajlepszą dla tutejszéj miejscowości przyszłość, rozpryskuje się teraz, i znowu wracamy do dawnego stanu rzeczy, bo Szulc i Piwnicki wyjechali do Rzymu, dokąd także wybiera się za parę miesięcy i Gundelach; Łaszczyński zaś wraca w strony rodzinne, i pozostaje tylko z młodych artystów Barącz, zatrzymany na miejscu swą olbrzymią statuą, którą robi na wystawę wiedeńską.

Mówiąc o naszych artystach, należy nam skorzystać z okoliczności i potrącić o jedną bardzo ważną w tym względzie kwestyę. Dość często przybywają tu z kraju tak zwani *stypendyści*, lecz tak źle zaopatrzeni w fundusze, iż nietylko nie mogą urządzić sobie pracowni i robić odpowiednich studyów, ale nawet drogi czas w życiu zatruwają zgryzotami i tracą go na rzemieślnicze zarabianie na kawałek chleba. Niechże więc raz przecię Towarzystwo warszawskie weźmie sobie za normę, że jeżeli nie może swemu stypendyście zapewnić 300 franków miesięcznie, to lepiéj całkiem go nie wysyłać, a oszczędzi sobie kompromitacyi i młodego człowieka od grożącéj mu nędzy i moralnego upadku na duchu uchowa. Trzeba bowiem wiedzieć, że na skromne utrzymanie potrzebuje tu młody człowiek 150 fr. miesięcznie co najmniéj—drugie tyle jest konieczne na najęcie studyum, modeli i zaopatrywanie się w materyały potrzebne.

Od lat kilku bawią w Italii dwie Warszawianki, panny Biron Izabella i Miller Emilia, które po skończeniu studyów w różnych konserwatoryach dramatycznych i muzykalnych, zeszłego miesiąca wystąpiły razem w operze *Marta* w San Miniato, mieście powiatowém pod Florencyą. Wystąpienia ich powiodły się najzupełniéj i przegląd muzyczny Gazety d'Italia z dnia 8 b. m. powiada, iż tak swą grą rozegzaltowały publiczność miejscową, iż w dni świąteczne teatr nie wystarcza na pomieszczenie widzów z okolicy przybyłych. W początkach tego miesiąca odbył się benefis debiutantek, które nietylko oklaskami i wieńcami zostały podczas niego osypane, ale nadto publicznie złożono im drukowany sonet, ułożony przez miejscowych wielbicieli ich głosu, śpiewu i akcyi.

RATUSZ W SANDOMIERZU.

W środku rynku miasta Sandomierza wznosi się wspaniały pomnik architektury świeckiéj gotyckiéj, przechowujący się dotąd z czasów Kazimierza Wielkiego. Gmach ten przeznaczony dla pomieszczenia w nim władz miejskich a którego rysunek przedstawiamy na str. 589 naszego pisma zbudowany z cegły; węgły zaś i ramy u okien z ciosowego kamienia. Wyższą część muru osłaniającą dach, przyozdabiają półokrągłe nisze, nad niemi zaś mieszczą się strzelnice z futrynami ciosowemi, w kształcie okrągłych okien. Mur ten podwyższają ozdoby z cegły w formie wieżyczek i gzyms kamienny, najwyższe zaś umieszczone w narożnikach, zakończone są kulami płomienistemi. Ozdoby rzeczone zdaje się pochodzą z późniejszych czasów. Front budowli zdobi wysoka pięciopiętrowa wieża, więcéj ku lewéj stronie gmachu zbliżona, ściany dwóch niższych piętr są w czworobok, a trzech wyższych w ośmiobok zbudowane, zakończone spiczastym dachem. Na chorągiewce téj wieży powiewa herb miasta Sandomierza, a w środkującém piętrze umieszczonym jest zegar.

Z PODRÓŻY.

4 Sierpnia 1872 r.

II.

Komu pilno, ten nie może czekać ustalenia się pogody, i dla tego to właśnie, pomimo nieustannego deszczu, musieliśmy nasze tłomoki i własne swoje osoby zapakować do pocztowego wehikułu, kierującego się ku Szczawnicy, chociaż, jak się to później okazało, myliłby się ten, ktoby był przekonany, że owa karoca z pewnością do miejsca przeznaczenia przybędzie. Co się zaś tyczy spółrzędnego zestawienia naszych osób z tłomokami, przy takowém obstaję, a to dla dwóch powodów: po pierwsze nie znany budowniczy pocztowego furgonu widocznie usiłował wyznaczyć *minimum* przestrzeni dla nóg, korpusów i głów średniego nawet wzrostu podróżnych i celu tego dopiął, tak że o pasażerach nie można powiedzieć inaczéj, jak tylko że byli upakowani; po drugie opłatę za przejazd podniesiono o 50% to jest z 6 złr. na 9, a że za rzeczy, których waga przewyższa 30 funtów, pobierają jeszcze dodatkową wygórowaną opłatę po 6 centów od funta (jak za przesyłki pocztowe), zestawiając więc tę taksę z powyższą osobową opłatą, widzimy że i za każdy funt osoby płaci się również 6 centów, jeżeli średnią wagę podróżującego do Szczawnicy pacyenta oznaczymy na 150 funtów, gdyż jak wiadomo tacy pacyenci zbyteczną tuszą nie grzeszą. Podwyższenie więc owo miało bez wątpieuia *einen reellen Grund* i osoba pasażera została prostą pocztową przesyłką, chociaż nieassekurowaną, gdyż w razie jéj uszkodzenia, spadkobiercy bez wątpienia żadnéj indemnizacyi nie dostaliby z Wiednia.

Po 19-to godzinnéj jeździe, przerywanéj tylko dwoma czy trzema krótkimi, jak na kolei żelaznéj, przystankami, z nawpół letargicznego odrętwienia, spowodowanego jednostajném kołysaniem się powozu i bezsenną nocą, zbudził nas głos donośny: „niech panowie wysiadają szukać sobie mieszkań.” Porwaliśmy się uradowani, żeśmy już przecież stanęli u kresu podróży, ale jakież było nasze zdziwienie gdy, blaszana wieża kościołka, szeregi schludnych na zewnątrz domków i odmienny od Szczawnickiego krajobraz przekonały nas, że jesteśmy zaledwie w dobrze znaném nam miasteczku Krościenku, o $^3/_4$ mili od Szczawnicy. Nie mogliśmy zrazu zrozumieć, dla czego c. k. wysoki urząd pocztowy skazuje nas, wbrew naszym planom, na mieszkanie w Krościenku, gdzie znajdują się wprawdzie lecznicze zdroje mineralne, nie ustępujące podobno szczawnickim, ale na odpowiednie ich urządzenie jeszcze i przyszłe pokolenia długo czekać będą. Zagadka wyjaśniła się niebawem: dwudniowy deszcz uczynił niemożliwą przeprawę przez Dunajec, gdyż jak to raz wyraził się Kostrzewski— „jest tam most co go nie ma” i patryarchalnéj struktury prom, obficie przeciekający i w czasie „dużéj wody” niebezpieczny.... Za „klęski elementarne” (wyrażenie galicyjskie) urząd pocztowy nie odpowiada, *ergo* kareta pocztowa wraca sobie do Krakowa—przepraszam za rym mimowolny — a całą swą martwą i na wpół żywą zawartość pozostawia w Krościenku własnemu przemysłowi... Sławny ów, jak Niemcy mówią, *vielbe-*

sprochene most buduje się bodaj od lat pięciu; obecnie już powbijano pale i optymiści zapowiadają dokończenie budowy na miesiąc listopad; pessymiści przeciwnie, przewidują jeszcze kilkoletnią zwłokę, a znawcy znajdują obrane miejsce niestósownèm, prawią o konieczności mostu żelaznego, i widzą objaw źle zrozumianéj, choć może przy obecnych stosunkach krajowych koniecznéj oszczędności w budującym się moście drewnianym, któremu wróżą smutny los od kry na początku zimy lub na wiosnę...

Skazani więc na przymusowy pobyt w Krościenku, dopóki niebo i Dunajec nie ulitują się nad nami, nie mogliśmy jednak uczynić zadość wezwaniu pocztmistrza i wyszukać sobie mieszkania, gdyż izdebki, jako tako mieszkalne, były już zajęte przez przybyłych przed nami pokutników za nie swoje grzechy, a najniezbędniejsze sprzęty—łóżka należą w Krościenku do rzadkich osobliwości. Skutkiem tego nie bez utarczki z oponującym pocztmistrzem, umieściliśmy się w pocztowéj chałupie, gdzie jeden z nas musiał sypiać na sprzęcie, pierwiastkowo zupełnie na inny cel przeznaczonym, który przy każdym ruchu niespodziewanego lokatora wydawał właściwe sobie stłumione dźwięki... Tak upłynęła dwudniowa nasza kwarantanna wśród okraszonych to rozpaczą, to nadzieją studyów nad dymiącymi mgłą szczytami gór, nad pokrytém ołowianemi chmurami niebem i stanem wód groźnego Dunajca. Wtedy dopiero zrozumieliśmy dobrze, jak to niegdyś zupełna zależność człowieka od kaprysu wód zmuszała go z trwogą i nadzieją modlić się do potężnego, „unoszącego ziemię" Posejdona i do jego małżonki Amfitryty... Resztę czasu zabierały nam sen i posilanie się w restauracyi Walentego—najlepszéj ze społecznych instytucyj krościeńskich, któréj i pod względem cen, zarówno jak co do jakości pokarmów, należy oddać pierwszeństwo przed szczawnickimi tego rodzaju zakładami. Tu schodziło się towarzystwo „oczekujących" które coraz to się pomnażało, i w końcu składało się z kilkudziesięciu osób, przybyłych już to prywatnymi wózkami, już to w pocztowych powozach, których regularnie przychodziło po trzy codziennie, gdyż urząd pocztowy Krakowski, snać nie chcąc nic wiedzieć o przerwie w komunikacyi, nie przestawał przyjmować i wyprawiać pasażerów do Szczawnicy, odwożąc ich tylko do Krościenka.

W licznèm tém gronie nie brakło dam i dziewic, które w naszém nudném położeniu musiały koniecznie wydawać się wszystkie pięknemi; podsycana bezczynnością i, w skutek psychologicznéj reakcyi ozłacająca splinowy stan dusz naszych wyobraźnia widziała w tych paniach bohaterki i księżniczki, a strzały promiennego Erosa przeniknęły przez chmury nawet do krościeńskiego wąwozu... Nie jeden z pewnością będzie błogosławić chwile owego internowania w Krościenku, a choćby z efemerycznych stosunków i powstał później zawód i rozczarowanie,—*et haec meminisse juvabit*—taka już ludzka natura...

Rozpacz niepewnego oczekiwania podawała rozmaite oryginalne sposoby przeprawy do Szczawnicy. Jedni radzili przeprawić się na łodziach w inném miejscu gdzie Dunajec węższy i spokojniejszy, ale jeżeli przeprawa wodna tam łatwiejsza, za to, po dostaniu się na drugi brzeg rzeki, wypada przebijać się do Szczawnicy po bezdrożnych górach albo pieszo, albo wózkami lecz nie inaczéj jak najwszy pewną liczbę góráli do ich podtrzymywania, ażeby w przepaść nie spadły, albo nakoniec można odbyć tę drogę na krzepkich barkach górali. Drudzy podawali nawet projekt przeskakiwania po palach budującego się mostu, który tym sposobem przydałby się na coś, będąc nawet jeszcze w kolebce. Dla powyższych jednak trudności, nie bardzo ufając naszym ekwilibrystycznym i akrobatycznym zdolnościom, niemogliśmy zgodzić się na żaden z dwóch powyższych sposobów przeprawy, chociaż pierwszy gorąco był popierany przez jakiegoś lwowianina. Jegomość ów trwożył nasze i bez tego zasępione umysły wymownym obrazem niebezpieczeństwa przeprawy w zwykłém miejscu, nawet łódkami, a gdy z tego powodu jeden z obecnych zrobił ogólną filozoficzną uwagę, jak to dzisiejsze przekonanie ludzi drży o swoje życie, mężny pomimo słów swych lwowianin począł dowodzić że on, chociaż obawia się przeprawy posiada jednak wiele odwagi, któréj już i dawniéj kiedyś (zapewne na lądzie) dawał dowody i obecnie gotów jéj jest dowieść temu, ktoby o niéj powątpiewał. Sądziliśmy wszyscy że przyjdzie do pojedynku i już niektórzy z nas chcieli ofiarować się na sekundantów i mieli zamiar wybrać na miejsce walki okolicę przy ujściu Dunajca do Sanu, gdyż Lwowianin biegły, jak sam twierdził, w znajomości gór i rzek galicyjskich, dowodził przed chwilą, że Dunajec wpada do Sanu. Skończyło się atoli na niczém i z tego pociesznego zajścia utwierdziliśmy się tylko w nabytém poprzednio przekonaniu o pochopności synów galicyi do pojedynków, wielu z nas postanowiło za przybyciem do Szczawnicy, wprawiać się w strzelanie w tamtejszéj strzelnicy, a to na wszelki wypadek.

Nakoniec jak wszystko tak i więzienie nasze miało koniec. Po dwóch dniach nastała pogoda i przeprawa do Szczawnicy stała się możliwą, wprawdzie nie promem sędziwym, lecz na łódkach. Fale Dunajca piętrzyły się jeszcze groźnie, z hukiem rozbijając się o podwodne kamienie, pomimo to jednak my, cośmy wprawdzie nie przepłynęli, według przysłowia: Wisły, lecz przebyliśmy ją po moście w Podgórzu, nie utonęliśmy w Dunajcu: *placabile numen* króla wód podkarpackich pozwoliło nam w całości przebyć straszny odmęt pomiędzy przyczółkiem budującego się mostu, niby Scyllą i groźnemi nakształt Charybdy kamieniami.

W Szczawnicy od trzech lat niewidzianéj zastaliśmy prawie wszystko tak jak było, nawet ku starości nic się nie pochyliło, dzięki zapewne zdrowemu powietrzu wiecznie młodéj osady, konserwującemu ludzi i budynki. Tylko drzewka w założonym od lat kilku ogrodzie na Miodziusiu rozrosły się znacznie; stanęły dwa nowe domy „na górze" i trzy czy cztery około cmentarza; jedna z trzech restauracyj przeszła na własność rodziny utrzymującéj tu oddawna „wypożyczalnię" książek, która obecnie (t. j. rodzina) wskutek tego szafuje i obrok duchowy i pokarm cielesny, który mówiąc nawiasem, znacznie w cenie się podniósł; podrożały nadto mieszkania, mleko, poziomki, a nawet i pierniki; wodę podają już inne dziewczęta, gdyż dawne powychodziły za mąż; nakoniec w tych dniach dopiero stanął domek przeznaczony na „kumysarnię," a w dawnéj „spoczywalni" mieści się czytelnia. Oto podobno wszystko nowe.

O ile zaprowadzono innych ulepszeń, a usunięto braków, albo też o ile ujęto stron dodatnich, a dodano ujemnych, równie jak i o towarzystwie szczawnickiém i jego osobliwościach— o wszystkiém tém, dla ważności i obszerności przedmiotu, pomówię może w następnym liście.

L. S. W.

ROZMAITOŚCI.

— Ministeryum spraw wewnętrznych w Petersburgu dało temi czasy koncessye na kilkanaście nowych czasopism niepolitycznych w językach: ruskim, polskim i niemieckim. Z polskich, doktor medycyny Karol Benni otrzymał upoważnienie na wydawanie w Warszawie: *Medycyny, czasopisma tygodniowego dla lekarzy praktycznych*,—magister zaś nauk przyrodzonych Holewiński na wydawanie dwutygodnika specyalnego: *Piwowarstwo, gorzelnictwo, cukrownictwo*. Prócz medycyny, która ma kilka organów, i nie możemy sądzić czy potrzebuje nowego, prócz ekonomii politycznéj, która ma nowego przedstawiciela w *Ekonomiście*, piśmiennictwo nasze czasowe nie posiada w Warszawie organów poświęconych wyłącznie pewnym odrębnym gałęziom nauki czystéj lub stosowanéj do użytku praktycznego. Czasopismo p. Holewińskiego po *Przeglądzie technicznym* będzie nową, bogdajby tylko pomyślniejszą próbą, jak dalece postąpiliśmy w specyalizowaniu nauki i oświecaniu praktyki przez wiadomości teoretyczne.

— Wyprawa austryacka do bieguna północnego wypłynęła z Bremy na okręcie „Tegetthoff" pod kierunkiem Weyprechta i Payera, którzy obaj przed kilku laty mieli już udział w podobnéj wyprawie niemieckiéj, a Payer nader zajmująco opisał swe przygody w osobném dziele. Wyprawa jak zwykle ma na celu wyszukanie drogi na przypuszczalnie otwarte morzu biegunowe, oraz zbadanie nieznanych lądów pod biegunem. Podróżnicy wybrali się w drogę na dwa lata. Jednocześnie prawie Niemcy północni wysłali wyprawę naukową do Afryki zachodniéj, dla badań przyrodniczych w okolicach podzwrotnikowych. Wyprawa, w któréj mają udział znani specyaliści Reichenow, Lüder i Buchholtz, zabawi w Afryce trzy lata.



Panu **Janowi Zaduma**. Wiersz „Rozczarowanie" drukowany nie będzie.

P. **Julii Bie**. Sonety: „O Trockiem jeziorze," „Burza," i „Nowy Rok"—drukowane nie będą.

Wydawca, Hipolit Orgelbrand. Дозволено Цензурою, Варшава 27 Іюля (8 Августа) 1872 г. **Redaktor**, Mieczysław Orgelbrand **Mag. Pr. i Adm.**

w Drukarni S. Orgelbranda Synów, w Warszawie ulica Bednarska Nr. 20.